Cena 80 mk.
№ 16. Warszawa, 15 kwietnia 1922. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

Zwycięzcy i zwyciężeni w Genui.

Premjer włoski de-Facta, witając gości genueńskich, mówił o „duchu braterskiej współpracy, mającem ożywiać wszystkie narody zebrane na konferencji“, zalecał „zapomnieć o podziale na przyjaciół i wrogów, na zwycięzców i zwyciężonych, który zrodziła wojna“. I Llojd George w swej pierwszej mowie na otwarciu konferencji upewniał również, że „w sprawie odbudowy Europy wszystkie narody, zwycięzcy, zwyciężeni, neutralni przemawiać będą na równych prawach...“

W uroczystych mowach, wygłaszanych na zjazdach międzynarodowych, zwłaszcza w przemówieniach powitalnych i pożegnalnych, zawsze jest dużo pięknych słów, pozbawionych istotnej treści, albo maskujących prawdziwe zamiary, dużo fałszu i obłudy, to też zwykle nikt na serjo pięknych haseł wygłaszanych na konferencjach międzynarodowych nie bierze. Ale rzadko kiedy przeciwieństwo między idealistycznemi hasłami a realistycznemi celami kongresu było tak wielkie, jak ta przepaść, która rozdziela wzniosłe słowa inauguracyjnego przemówienia włoskiego ministra i bardzo poziomy nastrój zjazdu.

„Duch braterskiej współpracy“ ma ożywiać tę wielką giełdę międzynarodowych interesów, na którą zebrali się przedstawiciele rządów dla targu i przetargu w największej nieufności wzajemnej, w mocnem przeświadczeniu, że chwila wymaga od każdego wytężonej baczności, aby nie być oszukanym i zepchniętym z należnego stanowiska! Ma być zapomnianym „podział na zwycięzców i zwyciężonych“ tam, gdzie głos każdego tyle tylko waży, o ile ma za sobą siły realnej, gdzie siła jest wszystkiem, a prawo—niczem!

Jeszcze na początku konferencji pokojowej w Paryżu można było łudzić się nadzieją, że po „ostatniej wojnie“ zapanuje pokój, oparty na prawie i sprawiedliwości, że narody, zapomniawszy o podziale na wrogów i przyjaciół, zwycięzców i zwyciężonych wytworzą, warunki dla braterskiej współpracy. Ale już konferencja paryska pogrzebała te nadzieje, a potem każdy nowy dzień dorzucał grudkę ziemi do mogiły, w której złożono marzenia o nowej erze stosunków międzynarodowych, a każdy rok ubijał na niej ziemię i po trzech latach międzynarodowych stosunków powojennych, mogiła tak jest dobrze udeptaną, że nikomu nie przychodzi go głowy myśl o wskrzeszeniu żywionej w czasie wojny nadziei, że po jej ukończeniu zasady prawa i sprawiedliwości będą regulowały stosunki i roztrzygały spory między państwami i narodami.

O sprawiedliwość, o *prawa narodów* nie dbano zupełnie w stosunkach międzynarodowych przed wojną—los narodu polskiego najlepszym tego dowodem—ale jeżeli chodzi o *prawo*, już uznane przez traktaty, wypływające z zobowiązań międzypaństwowych, to poszanowanie prawa, tak samo zresztą, jak i w stosunkach prywatnych, było większe przed wojną, niż w naszych czasach. Zamach Austrji na suwerenne prawa Serbji i pogwałcenie neutralności Belgji posłużyły sygnałem do wojny światowej. W naszych czasach najazd Rosji Sowieckiej na niepodległą Gruzję, która przed chwilą została *de jure* uznaną przez Europę, a zatem miała po swojej stronie nie tylko sprawiedliwość, ale i gwarancje prawne, — nie wywołał żadnego protestu ze strony mocarstw. Tak samo dla wszystkich było oczywistem, że gdyby udał się bolszewikom najazd na Polskę, to Europa pogodziła by się z tym faktem dokonanym, nie zważając na to, że zaledwie rok upłynął od Traktatu Wersalskiego, który uroczyście uznał i gwarantował niepodległe Państwo Polskie. Można powiedzieć, że choć Niemcy zostały zwyciężone w wojnie światowej, jednakże zasada, której Niemcy hołdowały: „siła przed prawem“ zwyciężyła, bo została uznaną przez zwycięzców, którzy wojnę prowadzili niby w obronie prawa,

Wobec tego tryumf sprawiedliwości w poszczególnych wynikach wojny, jak wskrzeszenie Państwa Polskiego, zjednoczenie Serbji i inne, wydają się czemś przypadkowem, dziełem rąk nie bogini Sprawiedliwości, a tej Fortuny, „która za swą wodzą

„Znikome dobra wciąż obsyła w kolej
„Z rodów na rody, ż dziedzin na dziedziny,
„A której ludzki rozum nie zniewoli.
„Przez nią ten naród wzrasta, ten w ruiny
„Pada"...

(*„Boska Komedja". Piekło. Pieśń VII.*)

Wojna jednych zrujnowała i zepchnęła na dół, drugich wzbogaciła i wyniosła do góry, tak samo w życiu państw i narodów, jak i w życiu jednostek. I w stosunkach międzynarodowych, jak i w stosunkach prywatnych, wytworzyła się jedna i ta sama atmosfera powojenna, i gorączka korzystania z chwili szczęścia i używania chwili bez troski o jutro, bez myśli o prawie. Cynizm w polityce i pasek w handlu.

Zasada, że „uczciwość — najlepszą polityką" zalicza się dziś do kategorji przedwojennych rupieci, a powszechnem uznaniem cieszy się natomiast sentencja, że „pieniądz nie pachnie".

W takiej to atmosferze zbiera się zainicjowana przez mistrza naszej epoki Lloyd George'a Konferencja, która ma „odbudować" Europę, kierując się w dziedzinie ekonomicznej powyższą sentencją o pieniądzu, a w polityce zasadą: siła przed prawem".

Czyż nie jest najlepszą ilustracją do tej zasady okoliczność, że prawnie przez Europę uznana Gruzja nie jest obecną na Konferencji, a nie uznana Rosja Sowiecka zabiera głos na równi z wielkiemi mocarstwami?

Dlaczego?

Dla tego że mała Gruzja została zwyciężoną, a Rosja Sowiecka — zwycięzcą.

Lloyd George upewnia, że w sprawie odbudowy Europy i zwyciężeni i zwycięzcy będą przemawiali na równych prawach. A przecież w sprawie odbudowy Rosji, dotyczącej całego szeregu narodów zwyciężonych przez międzynarodówkę moskiewską, a jęczących dziś pod jarzmem bolszewickim, nie ma głosu na Konferencji: ani gruziński, ani ormiański, ani ukraiński, ani sam naród rosyjski, którego przedstawiciele albo milczą w swojej własnej ojczyźnie, albo zakładają bezsilne protesty na obczyźnie.

Rosja narodowa zwyciężona podwójnie: w wojnie międzynarodowej przez potęgę niemiecką, w wojnie domowej przez międzynarodówkę — nie ma głosu na Konferencji. A rząd sowiecki został na nią zaproszony właśnie dla tego, że zwyciężył w walce i z powstańcami, i z białą gwardją i z obcą interwencją. Jak zwycięzca też i przemawia Cziczerin w Genui, stawiając swoje żądania, podkreślając swoje stanowisko.

Europa zadowolona że „l'ordre regne en Russie" pali się do nawiązania z nią stosunków handlowych i zaprasza Sowiety do „braterskiej współpracy" dla odbudowy życia gospodarczego.

Jak rozumieją tę „współpracę" sami bolszewicy świadczą mowy wygłaszane na ostatnim zjeździe partji komunistycznej w Moskwie:

„Jeżeli europejski kapitał sądzi, że się wzmocni przy pomocy ekonomicznej wyprawy do Rosji, to i my przecież przez to wzmocnimy się. Nasze główne zadanie na tem polega, oby zubożały i zrujnowany kraj, w którym pozostaje u władzy klasa robotnicza zrobić silnym ekonomicznie, bo *tego wymaga interes międzynarodowej rewolucji* („Prawda" moskiewska z dnia 1-go kwietnia).

Komuniści rosyjscy liczą na rewolucję w Europie, kapitaliści zachodni na ewolucję bolszewizmu w Rosji: doskonała jedność celów dla współpracy kapitału z sowietami! Ktoż kogo oszuka w tej spółce uczciwej? Lub innemi słowy: kto zwycięży w tej nowej walce? Bogactwo Angli, która wyszła zwycięsko z wojny światowej przez to że umiała zaprządz do walki po swej stronie tyle sił świata i budzić ich energję, czy też nędza Sowietów, które dotąd tem zwyciężały, że obezwładniały i rozkładały każdą siłę, przeciw nim skierowaną? Czy Anglja przy pomocy niemców wyciągnie nowe zyski dla siebie z ołchłani rosyjkiej, czy też ta otchłań zacznie zachód wciągać do siebie?

Zagadnienie konplikuje się tem, że prócz Sowietów i kapitału jest jeszcze ktoś trzeci w całej tej sprawie; ten *tertius*, chociaż nie *gaudens*, — naród rosyjski, o którym przypomina Sowietom w liście otwartym do Lloyd George'a, wydrukowanym w angielkim „Times'ie" i w rosyjskiej „Za swobodu". Sawinkow pisze że przez to, że bolszewicy zostaną uznani — nic się w Rosji nie zmieni. Naród w dalszym ciągu walczyć będzie z nimi. Pisze, że Anglja, wzmacniając władzy uzurportorów i tworząc pod ich ochroną cudzoziemskie faktorje, wywoła straszną ksenofobję w Rosji, otrzega że oddziały „zielonych", które teraz napadają na bolszeków, niszcząc koleje i składy, nie będą oszczędzały i faktorji cudzoziemskich...

Któż wyjdzie ostatecznym zwycięzcą z tego chaosu?

Premjer włoski wzywa zapomnieć o podziale na zwycięzców i zwyciężonych. Mówiliśmy już że ten wzniosły apel nie odpowiada bynajmniej panującym dziś poziomym nastrojom i egoistycznym intencjom. Ale jeżeli brać pod uwagę nie subjektywne intencje i nastroje zwycięzców, którzy chcieli by wyciągnąć wszystkie korzyści ze swego zwycięstwa, i zwyciężonych, którzy pragną odwetu, lecz objektywny bieg rzeczy to trzeba przyznać, że różnica między zwycięzcami i zwyciężouymi coraz więcej zaciera się... w ogólnem zobużeniu.

Jak zawsze „biada zwyciężonym", ale i zwycięzcom dziś nie lepiej. Anglja zwyciężyła i ze zwycięstwa odniosła największe w Europie korzyści, ale stoi wobec groźby ruiny przemysłu swego i szuka ratunku w zniszczonej doszczętnie Rosji. Sowiety też zwyciężyły, będą uznane, ale położenie ich jest rozpaczliwe. Niemcy choć zwyciężone podnoszą się ekonomicznie, nabierają sił i po mału wychodzą z sytuacji zwyciężonych. A Francja, która wyszła zwyciękzo z wojny, pozostaje nie odbudowana...

Czy można jednakże dzieło odbudowy Europy zacząć od przekreślenia prawa i podeptania tych zasad uczciwości, w obronie których właśnie występuje lojalna i uczciwa polityka Francji? Jeżeli podział na przyjaciół i wrogów, na zwycięzców i zwyciężonych ma utonąć w powszechnej obojętności dla rzasad prawa, moralności i uczciwości, w powszechnem uznaniu siły, która idzie przed prawem, i pieniądz, który nie pachnie, czy to podźwignie Europę z jej nędzy obecnej? Czy nie

będzie to raczej staczaniem się po pochyłości ku coraz większej nędzy moralnej i materjalnej?

Na drogę szeroką, ale pochyłą, przez bramę Genueńską prowadzi ludzkość Lloyd George. I na tej drodze rzeczywiście przeszkodą jest Francja.

Czy nam danina pomoże?*)

IV.

Narodowy, oparty na realnych i zdrowych podstawach handel jest w tej całej sprawie jedynym racjonalnym i bezwzględnie koniecznym czynnikiem. Tradycyjna pogarda do handlu, jakoby obniżającego godność obywatelską, już dawno zeszła do najbardziej archaicznych przesądów, i we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego, poczynając od najbardziej kulturalnych i zamożnych sfer ziemiańskich, dążących do zdobycia obrotowego kapitału dla uprzemysłowienia gospodarstw, lasów, i kończąc miastem i wsią, rozpoczęła się energiczna akcja w kierunku tworzenia magazynów, biur handlowych, wreszcie spółek, związków i hurtowni chrześcijańskich. Od drugiej połowy przeszłego stulecia mamy coraz bardziej wzmagający się rozwój kooperatyw, współdzielni i towarzystw akcyjnych. Najbardziej czynnym pod tym względem okazał się zabór pruski, który reagując na eksterminacyjną akcję pruskiego hakatyzmu, z taką doskonałością wykorzystał prawno - państwowe ustawy, że nie tylko udaremnił zakusy hakatyzmu, lecz i ostatecznie zwalczył wpływy anonimowej organizacji pośredników handlowych. Inaczej się działo w zaborze rosyjskim i austryjackim, gdzie nie oficjalna, lecz faktyczna symbioza ślepych imperjalizmów z trzeźwą anonimową organizacją przetrwała aż do ostatnich wyników wielkiej wojny, tamując wszystkiemi środkami ekonomiczną i polityczną samodzielność ujarzmionych narodów. Przy tak pomyślnych warunkach anonimowa organizacja rozrasta się w obu imperjach do rozmiarów pierwszorzędnego ekonomicznego czynnika, przyczem przejście niemieckiego i rosyjskiego języka, kultury służyło jej najbardziej skutecznym środkiem do zwalczania polskiego narodowego oporu. Z chwilą zmartwychwstania Państwa Polskiego konieczność stworzenia wszechpolskiego nacjonalnego handlu weszła głęboko we wszystkie warstwy społeczeństwa i dziś już w pewnym stopniu przekroczyła racjonalne granice, ponieważ kupców okazało się prawie tylu, co i kupujących; każdy bowiem obywatel dąży do wzmocnienia swej chwiejnej ekonomicznej sytuacji przy pomocy jakiejkolwiekbądź spekulacji. Ten pseudo - ratunkowy odruch podkopuje zdrowe podstawy racjonalnego handlu, w znacznym stopniu wzmacnia ogólno - paskarski charakter pośredniczej akcji. Pomimo tego nowy polski działacz staje na polu handlowem w znacznie gorszych warunkach od swego wytrawnego konkurenta konieczność tworzenia lub zdobywania mocno obsadzonych placówek wyraźna sympatja większości abrykantów i hurtowników do pokrewnych i dobrze wypróbowanych współpracowników, nakoniec brak wyrobionych stosunków z międzynarodowym handlem i kapitałem — wszystko to w znacznym stopniu utrudnia polskiemu nowatorowi posuwanie się na wyższe szczeble handlowego aparatu, robiąc go w zdobywaniu kapitału i materjalnie coraz więcej zależnym od potężnych wpływów anonimowej organizacji. Wiejski wytwórca, nawykły do gładkich, chociaż bardzo wyczerpujących zabiegów odwieczengo opiekuna, niechętnie spotyka nowy, mniw wprawny, lecz bardziej krewki typ pośrednika, operującego często dowodami o prawie i obowiązku — i oblicza się z nim jedynie na wzorach z wyjątkową sprawnością podawanych przez starych opiekunów. W tak ciężkich warunkach nowopowstający nacjonalny handel i przemysł często nie może się obejść bez pewnej wyrozumiałości i nawet dobroczynności społeczeństwa, co w znacznym stopniu obniża samą podstawę handlowej akcji.

Dla bezwzględnie dążących do osiągnięcia raz wyznaczonego praktycznego celu, a także dlaostatecznie podporządkowanych obcym wrogim wpływom—grozi wielkie nebezpieczeństwo stoczenia się na strome, lecz dobrze wyżłobione ścieżki anonimowej organizacji, przyczem nowy typ paskarza swoją bezwzględną zaciekłością często przewyższa stare wzory. Brak wyrobionej rutyny, pewną opieszałość i nieumiejętność wykorzystania i utrwalenia pewnej chwili powodzenia, jak również opóźniona, lub gwałtowna akcja bez odpowiedniego przygotowania sa najzwyczajniejszemi przyczynami największych strat i niepowodzeń. Przykładem może posłużyć pierwszy moment rozpoczęcia handlowych stosunków z Włochami, wykorzystanie którego dało dwom starym warszawskim firmom na jednych mandarynakch i pomarańczach miljardowe zyski, odpowiadające wartości najmniej kilku najlepszych posiadłości Warszawy. Zwiazek zaś kupców polskich pozostał z przysłowiem—„tarde mementeubs assa". Nieumiejętność poradzenia sobie w ostatnim momencie przejścia produktów w ręce konsumenta, a jeszcze częściej nieporozumienia w transporcie, gdzie ostatecznie nie zaginęła zasada, że „bez smaru nie pojedziesz" — gubią też często w zarodku najlepsze zapoczątkowania. Tak naprz. świeżo wysłany z Pucka przez nową spółkę wagon z wędzoną rybą niewiadomo z jakiej przyczyny został odczepiony od pociągu na jednej z pośrednich stacji i przyszedł do Warszawy z opóźnieniem dwu dni w piątek wieczorem 24 Marca, t. j. w wilję święta Zwiastowania (25) i niedzieli. Złamane zamki i banalna kradzież przyczyniłyby właścicielom o wiele mniejszą stratę od opóźnienia delikatnego towaru na rynku o całe cztery dni. Nagół widzimy więc, że handel narodowy jest już akcją o szerokich podstawach i bezwątpienia ze świetną przyszłością, ale w dzisiejszych warunkach nie odgrywa jeszcze przynależnej mu pierwszorzędnej i decydującej roli w naszej organizacji ekonomicznej.

Sumując wszystkie wyżej wymienione fakty najbardziej charakterystyczne dla obecnego naszego stanu ekonomicznego—musimy sobie uprzytomnić, że jest to tylko szkic kredą na desce i to na dzień dzisiejszy. Każdy przeżyty dzień wynosi na powierzchnię nowe produkta twórczej siły narodu i topi stare przeżyte formy, czyniąc to z szaloną, bezprzykładną w historji prędkością. W ogólnym

*) Patrz „Tydzień Polski" № 14.

zaś wyniku widzimy zadziwiający nawet naszych najzacieklejszych wrogów postęp państwowości polskiej. Nie upłynęły jeszcze dwa lata od najścia bolszewików, a już mamy dosięgające przedwojennej normy rolnictwo, sieci kolei żelaznych, udoskonalającą się szkołę, podgotowującą zastępy przyszłych obywateli, uporządkowane sprawy Gdańska, Śląska, Wilna—wreszcie doskonałą armję dla obrony naszych granic, mienia i niezależności... Z tych wszystkich odłamów naszego państwowego ustroju największą trudność, przy takiemże znaczeniu, przedstawiają nasze wewnętrzne stosunki ekonomiczne, potrzebujące specjalnej uwagi i nadzwyczajnych środków zaradczych. Do takich właśnie należy ofiarowana przez cały naród Państwowa Danina, znaczenie której, jako środka radykalnego dla uzdrowienia naszych stosunków ekonomicznych, najlepiej da się ocenić przy rozpatrzeniu jej na tle wyżej nakreślonego szkicu.

Ponieważ główną przyczyną naszych ekonomicznych niedomagań jest małowartościowość naszej waluty, niezbędnem więc jest przedewszystkiem wyjaśnić, jaki wpływ na nią może mieć państwowa danina. Już sama decyzja w tej sprawie, jeszcze raz dowodząca przed całym światem, że niema ofiary, której by naród polski nie poniósł dla utrwalenia swojej ekonomicznej i politycznej mocy—ma ogromne moralne znaczenie, jak w wewnętrznych, tak i w zewnętrznych stosunkach. Zupełna samowystarczalność w stosunku do produktów pierwszorzędnej potrzeby, wzrost płatniczej zdolności przy znacznie zmniejszonych wydatkach i oczywista możność wypłacenia miljardowych sum daniny — musiały dodatnio wpłynąć na ocenę naszej marki za granicą. Spowodowane daniną wyjęcie z obiegu kilkudziesięciu miljonów marki drukowanej i takież wzmocnienie kasy państwowej spotęgowało ten odruch i marka polska w przeciągu ostatnich tygodni w stosunku do zagranicznej waluty znacznie się wzmocniła. Przeciwnie, jak już widzieliśmy, na rynku wewnętrznym w stosunku do jaj, cukru, masła, mięsa, chleba i t. d. w tymże samym czasie znacznie spadła, wywołując na polu społecznem i ekonomicznem cały szereg najostrzejszych zatargów, jak naprz: strajki wielkopolskie i dozorców domowych w Warszawie, ciągłe wrzenia pośród urzędników państwowych i municypalnych i t. d. Dowodzi to oczywiście, że aparat pracujący na obniżenie wartości marki polskiej w jej własnym kraju nie przestaje działać z podwojoną energją i systematycznością. Ostatnie podniesienie cen w tramwajach, za telefony, w rządowych zakładach leczniczych, jak np. w Krynicy, gdzie pokoje, opłacane w zeszłym sezonie po 2000—4000, na przyszły sezon oceniono na 150000—290000 mk. — wyraźnie pokazuje, że rządzące sfery uległy tejże niczem nieuzasadnionej psychozie. Rozpoczęta akcja zbierania daniny nie tylko nie wywarła na ten objaw żadnego wrażenia, lecz przeciwnie najwidoczniej w znacznym stopniu go pogorszyła.

Wyjaśnienie tego faktu można też znaleźć przy rozpatrzeniu daniny na tle naszego szkicu. Ponieważ, jak już widzieliśmy, warstwa pośredników handlowych, wchłaniająca główne masy marki drukowanej, jest właśnie pierwszorzędnym czynnikiem naszej ekonomicznej chwiejności i niemocy, musimy przedewszystkiem rozejrzeć się, jak na nią może oddziałać danina. Jak wiadomo, pomimo dowodów dobrego znawcy naszych finansowych stosunków, pana posła Perla — ministerjum finansów odrzuciło stanowczo projekt pobrania daniny bezpośrednio od marki (co prawdopodobnie przedstawiało wielką trudność w stosunkach zagranicznych), zawdzięczając czemu, szczęśliwy posiadacz tej marki nie poniósł żadnego szwanku i zachował w całości możność przejawiania całej swej siły i mocy swej energji we wszystkich odłamach naszego życia ekonomicznego. Pod jego wpływem wszyscy właściciele i producenci, lub pobierający opłaty za swoje wartości (hotele, pensjonaty, magazyny i t. d.) podnieśli swe ceny, dążąc do zwrotu, często z lichwą, wypłaconych na daninę pieniędzy —co też prowadzi do ogólnego podniesienia cen. Przeniesienie całego ciężaru daniny na warstwę rolniczą, wywołane prawdopodobnie przypuszczeniem, że właśnie ona jest najszczęśliwszą posiadaczką marki, prowadzi bezpośrednio do zachwiania samych podstaw naszego rynku. Rolnik bowiem, w rzeczywistości nie posiadający takiej gotówki, musi ją nabyć sprzedażą swojego zboża i produktów, przyczem niezawodnie, pod wpływem ogólnej psychozy, nie zaniedba przy tej sposobności zwrócić sobie całą daninę. A ponieważ cena na chleb jest najsilniejszym czynnikiem, regulującym wszystkie inne wartości, odbije się więc na wszystkich szczegółach naszego ekonomicznego bytu. Jeśli zaś wziąć pod uwagę, że wypłata daniny przypada nie na jesień, kiedy są największe zapasy zboża, lecz na wiosnę, kiedy wiejski wytwórca po wyzbyciu się znacznej części swojego produktu, musi natężyć wszystkie siły dla odnowienia inwentarza, narzędzi, nabycia nawozu i opłacenia robotnika — po cenach coraz bardziej wzrastających — łatwo się domyśleć, w jakim nastroju przystępuje on do roboty. Fakt ten ostatni ma największe znaczenie dla zrujnowanych bolszewickiem najściem kresów wschodnich,—gdzie finansowa zależność od pośrednika, posiadającego dowolną ilość marek, stanie się jeszcze bezwzględniejszą. — Niemałą też odegrają rolę i ostateczne losy zebranych przez daninę miljardów: jeśli tylko pójdą one na cele zwyczajne, t. j. polepszenie rządowych instytucji, sprawy zagraniczne, opłatę deficytów, podniesienie świadczeń i t. d., to nie podlega wątpliwości, że po rozbiciu się na niezliczoną ilość strumyków, zleją się one zawczasu przygotowanem łożyskiem w markowem morzu warstwy pośredników handlowych, wzmacniając jej potęgę i znaczenie. Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór środków zaradczych przeciw wszechwładnemu panowaniu wyżej wymienionego aparatu obniżającego markę, można tylko powiedzieć, że wzięcie odpowiedniej daniny z tego morza markowego było najbardziej wskazanem. Pozatem uświadomienie i rozwój współdzielczej samodzielności mas ludowych, tak doskonale wyzyskany w byłym zaborze pruskim, pozostaje głównym i najbardziej racjonalnym środkiem. Drugim potężnym środkiem uregulowania zewnętrznej i wewnętrznej waluty, może być jedynie zwiększenie złotego zabezpieczenia w państwowej kasie, co też zapomocą miljardów daniny może być uskutecznionem. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że we wszystkich warstwach naszego społeczeństwa przechowuje się dość znaczna ilość złota i wszelkiego rodzaju kosztowności, które pod wpływem

rozmaitego rodzaju ekonomicznych konieczności wysypują się na rynek i bezpośrednio lub przez lombardy przechodzą do kieszeni tejże warstwy handlowych pośredników i to w takiej ilości, że fabryki srebrnych wyrobów pracują przeważnie na rublowem srebrze. Dość przyjrzeć się ogonkom, wyczekującym swojego losu w prywatnych lombardach, by się przekonać, że ilość zakładanych wartości zasługuje na opiekę państwa tembardziej, że roczny procent równa się teraz prawie całej wartości zakładango przedmiotu. Gdyby część daniny mogła pójść na zarządzenie szeregu państwowych instytucji, w których przyciśnięty koniecznością obywatel mógłby za szłuszne procenta założyć swoje wartości, dałoby to jemu wielką korzyść, a na dnie centralnej państwowej dzieży finansowej mógłby się utworzyć twardy i wartościowy osad.

Wychodząc z zasady, że mówić i radzić jest o wiele łatwiej, niż coś pożytecznego uczynić, nie przypuszczam, by szkic przez nas przedstawiony mógł się tłumaczyć, jako chęć krytyki i mieszania się do spraw naszych rządowych kierowników. Są to jednak fakta wzięte bezpośrednio z natury, co też i nadaje im pewną wartość. Być może, przyczynią się one choć w małym stopniu do oprzytomnienia naszego obywatela, który w pogoni za wstrętną dla niego marką nie widzi, że jego własna pomyślność przez to wcale się nie przybliża—a bezowocny wysiłek prowadzi do wyczerpania, prawdziwego nieszczęścia i zguby. Ponieważ zaś światło jest najpotężniejszym środkiem przeciw wszelkiego rodzaju pasożytom, możemy być pewni, że objektywne i spokojne oświetlenie anonimowej organizacji pośredników handlowych — jest jedynym środkiem skutecznej naprawy naszego państwowego aparatu ekonomicznego. Przystąpić do tego trzeba bez wszelkiego nacjonalnego lub religijnego wstrętu i zgóry powziętych wniosków i zamiarów. Jest to sprawa czysto ekonomiczna i społeczna, potrzebująca dla prawidłowego rostrzygnięcia sprawnego i objektywnego traktowania.

Nawiązując nasz ostateczny wniosek do pytania, postawionego w nagłówku artykułu, musimy wyuieść przekonanie, że w obecnym przejściowym stanie państwowości Polskiej danina niezawodnie podniesie naszą zewnęczną walutę, a wemnętrzną bezwzględnie obniży, co w znacznym stopniu uszczupli jej zewnętrzny sukces.

Teodor Hryniewski.

Jeszcze o Stanisławie Rożnieckim.

Pan Ernest Łuniński dał już doskonałą i głęboko odczutą charakterystykę zmarłego w grudniu r. z. profesora uniwersytetu kepenhaskiego, Stanisława Rożnieckiego (Tydzień Polski 1922, Nr. 19; por. też Nr. 3 artykuł „Wielka klątwa"). Niewiele można do niej dodać. Chciałbym jednak kilku szczegółami uzupełnić obraz tego niepospolitego uczonego i jednego z najlepszych ludzi.

Ojciec Rożnieckiego, Wojciech, wyemigrował z Poznańskiego czyli z pruskiej Wielkopolski do Danji ze względów osobstych, bez związku z wypadkami politycznemi. W Danii ożenił sie a z powodu braku v alfabecie duńskim litery ż swoje nazwiskoswoje nazwisko dla Duńczyków pisał swoje nazwisko dla Duńczyków nie Rożniecki, ale tylko Rosznecki. W takiej pisanej postaci nazwisko to figuruje na pierwszych dziełach i pod pierwszemi artykułami naszego uczonego. Matka jego była dunką i czystą Dunka była jego siostra, artystka, z którą mało co miał wspólnego. W domu rozmawiano tylko po duńsku, tak że język polski był początkowo obcy ś. p. Stanisławowi.

O pogłębienie stosunku do religji.

Zbytecznem stało się dziś podkreślanie tego, aż nadto oczywistego faktu, że na skutek olbrzymiej wojny światowej wzruszyły się do gruntu wszystkie podstawy społecznego i osobistego istnienia i że we wszelkich dziedzinach, zarówno dokoła nas, jak w nas samych, podnoszą się jak z otchłani najrozmaitsze a nieskoordynowane jeszcze objawy nowe. Niemniej oczywistym jest inny pewnik, dotyczący naszego stosunku do tego stanu rzeczy; mianowicie stwierdzamy to powszechnie, iż doznajemy wobec nich wrażenia chaosu.

Jest to stosunek z natury swej zupełnie bierny.

Poza tą wstępną świadomością brak nam jednakże innego, dalej idącego przeświadczenia i takiego właśnie, któreby ową bierność poczęło przekształcać w stanowisko czynne. I tu się otwiera potrzeba poruszania i podkreślania spraw i zagadnień, o których się jeszcze mało myśli, mało wie, mało pisze.

Doznawać uczucia chaotyczności, to znaczy tkwić w tym chaosie i dać się unosić jako jego cząstka bezradna w kierunku nieznanym i tajemniczym. Musimy sobie uświadomić szkodliwość tego stadyum, a następnie przeświadczyć się do głębi o konieczności wydobycia się zeń jaknajrychlej. Innemi słowy, trzeba bezwarunkowo *p r z e r o s n ą ć* w sobie to pierwsze i obezwładniające wrażenie.

Przezwyciężamy oszałamiający wpływ chaosu i torujemy sobie drogę do właściwej oceny zjawisk przez odnoszenie się do nich bez uprzedzeń i leku, z uwagą i odwagą. Gdy osiągniemy w ośrodku własnym to stanowisko zasadnicze, będziemy mogli uczynić niewątpliwy krok dalszy, czyli potrafimy w natłoku objawów i faktów rozróżnić nieomylnie te rzeczy, w których tkwią istotnie korzenie przyszłości i o które się w głębi sprawy wszystko inne zahacza.

Dopiero na tem zbuduje się sąd syntetyczny i wykreśli się odpowiednią do tego linję czynu.

W zmąconym dnu dzisiejszym, właśnie z powodu panujących dotychczas uprzedzeń i braku należytej uwagi a często i odwagi, niejednemu wyda się jeszcze bardzo dziwnem twierdzenie,

Polskość i miłość dla Polski zaszczepił mu w dzieciństwie jego ojciec, ale za pomocą języka duńskiego. Podziałały na niego opowiadania ojca o Polsce, o jej losach nieszczęśliwych, o jej walkach za wolność, o jej nadziejach i marzeniach. Może przez matkę Skandynawkę przeszły do młodego Stanisława romantyzm i awanturniczość Wikingów skandynawskich i zlały się harmonijnie z marzycielstwem polskiem.

Pierwszym, kto uczył Rożnieckiego mówić i wymawiać po polsku, był żyd z Polski, krawiec, również zamieszkały w Kopenhadze. Prawdopodobnie pierwsze lekcje wymowy polskiej odbiły się na wymawianiu Rożnieckiego w ciągu całego jego życia, chociaż może było to poprostu przeniesienie wymowy duńskiej do mówienia po polsku.

Językiem polskim zajmował się z wielkim zapałem i, ażeby mieć ciągłą praktykę, zamykał się w pokoju i całemi godzinami rozmawiał sam ze sobą. W uniwersytecie pracował nietylko nad polskim, ale także nad innemi językami słowiańskiemi. Swemi zdolnościami filologicznemi i swoją wiedzą zwrócił na siebie uwagę. W parę lat po skończeniu uniwersytetu dano mu stypendjum zagraniczne, ażeby rozszerzył swą nietylko teoretyczną, ale także praktyczną znajomość języków słowiańskich i w ten sposób przygotował się do objęcia katedry filologji słowiańskiej w uniwersytecie kopenhaskim.

Jako student uniwersytetu, odbył jednoroczną służbę wojskową w artylerji duńskiej. Wspominał o tym epizodzie bez wielkiego zachwytu, gdyż jego delikatną i subtelną duszę raziły gburowatość i cynizm żołdacki.

Poznałem Rożnieckiego w r. 1894 w Krakowie, dokąd przyjechał jako stypendysta duński. Zaczął od Polski, jako swej drugiej ojczyzny, inne kraje słowiańskie zostawiając na później. W Krakowie napisał i wydrukował w „Nowej Reformie“ nowelkę „Mój polski wilk“. Był to wilk, darowany mu przez ojca, jako pochodzący z Polski. Wilk ten był dla Rożnieckiego uosobieniem Polski i dlatego pokochał go jak rodaka.

Plany Rożnieckiego co do objęcia katedry w uniwersytecie kopenhaskim pokrzyżowało jego zakochanie się i ożenienie się z panną Stanisławą Rogowską, współwłaścicielką majątku Osmołówka w powiecie Ihumeńskim gubernji Mińskiej... Osiadł więc w tym majątku i stał się gorliwym gospodarzem i obywatelem ziemskim, biorącym udział w sprawach zbiorowych społecznych, co jednak nie przeszkadzało mu pracować intensywnie nad nauką. Dziś Osmołówka została wydarta jej właścicielom, bo wraz z całym powiatem Ihumeńskim należy do Bolszewji.

Gospodarując na wsi, Rożniecki wyjeżdżał od czasu do czasu w celach naukowych to do Petersburga, to do Pragi czeskiej, to do Wiednia i wogóle za granicę. Odwiedzał też swój gród rodzinny, Kopenhagę.

Głównym przedmiotem badań tego pierwszorzędnego filologa skandynawsko-słowiańskiego były byliny rosyjskie, owe byliny, które, jako najczystszy wykwit twórczości ludowej słowiańskiej, wprawiały w nieopisany zachwyt Oresta Millera i innych tego rodzaju entuzjastów rosyjsko-słowiańskich. Główny bohater bylin, Ilja Muromiec, był dla tych panów najczystszem wcieleniem niepokalanej słowiańskości świętej Rusi. Tymczasem Rożniecki, uzbrojony olbrzymią wiedzą w dziedzinie historji, literatury i filologji zarówno skandynawskiej, jako też słowiańskiej, oraz niezrównaną przenikliwością i bystrością myślenia naukowego, za pomocą szczegółowych zestawień i imponujących uogólnień wyka-

---

iż *taką rzeczą z korzeniami dalekiej przyszłości w sobie* jest przejawiający się coraz wyraźniej wzrost *tęsknot religijnych*. Od tego jednak, aby miejsce konwencjonalnego zdziwienia zajęło, szczególniej w tym wypadku, sumienne rozważanie, uzależnia się wynijście z obecnego chaosu...

Przejawy tęsknoty do religji ukazywały się dość powszechnie już przed wielką wojną światową. W krajach zachodnich występowały dobitniej i jawniej, u nas nurtowało to raczej w sposób nieokreślony w głębinach społeczeństwa, ale nawet nurt ów zaświadczał, że bije w tym kierunku źródło jakieś żywotne o wciąż wzbierającej mocy.

Zjawisko to, według utartej miary sądzenia w takich wypadkach, bywało przeważnie określane jako reakcja uczuciowa po uprzednim okresie sceptycyzmu. W istocie jednak znamionowało coś więcej. Oznaczało głuchy niepokój wobec warunków, które człowiek współczesny wytworzył, ale któremi powodować już nie mógł w dalszym ciągu. Urobił je dla siebie i popadł w ich niewolę. Spiętrzyły się ponad nim. Parły go swem ciążeniem w drogę coraz mniej pewną. Zda się, że społeczeństwa poczynały instynktownie odczuwać, iż na tej drodze powstać może kataklizm...

W pozornie umocnionej organizacji cywilizowanego świata czaiło się coś złego... Potrzeba prawdziwego ujęcia losów wymykających się z jego dłoni budziła się w świadomości człowieka, władcy sił technicznych, lecz zbłąkanego w samym sobie sługi tych konsekwencji zawrotnych, których przyczyny leżały już kędyś daleko.

Stał się kataklizm. We wstrząśnieniu olbrzymiej wojny rozluźniły się dotychczasowe spoidła, zachwiała pozorna równowaga, z przepaści, na których pękła skorupa powierzchownego ładu, buchnęły kolosalne wytryski protestu, zgiełku, zamętu, pożądań i walk. To rozpętanie żywiołów wszelkich urodzonych z potrzeb, pragnień i praw ludzkości dalekim jest jeszcze do chwili swego uciszenia. Nikt uważniej patrzący na bieg rzeczy łudzić się pod tym względem nie może. Co więcej, nikt rzetelnie pragnący istotnego polepszenia się stosunków ludzkich, oparcia ich na prawdzie, powiązania sprawiedliwością i prześwietlenia miłością nie mógłby zaspokoić

zał niezbicie, że całe to epos rosyjskie, że wszystkie owe byliny pseudo-słowiańskiego pochodzenia są niczem innem, jak tylko rosyjską przeróbką sag skandynawskich, dostosowanych do pojęć rosyjskich i przeniesionych na grunt rosyjski, z podstawieniem terminologji rosyjsko-słowiańskiej na miejsce terminologji skandynawskiej. Potomkowie Wariagów Rusów, zdobywców krainy przeważnie słowiańskiej, przestawali rozumieć sagi skandynawskie i zapominali swój dawny język, a ci, co jeszcze rozumieli po skandynawsku i jednocześnie mówili po słowiańsku, stawali się pośrednikami między dawnemi a nowemi czasy i oblekali swe odziedziczone po pradziadach podania w szatę słowiańską. Wybrzeże Murmańskie jest wybrzeżem Normańskiem, Ilja Muromiec jest dalszym ciągiem Normana, skandynawskie Walkyrje przedzierzgnęły się w Palanice bylin rosyjskich i t. d.

Jeżeli dumy ukraińskie i rapsody serbskie mogą jeszcze być sprowadzane do źródła miejscowego, to byliny okazują się w całej pełni zapożyczeniem ze źródła obcego.

To odkrycie Rożnieckiego jest bezwątpienia w swoim zakresie odkryciem epokowem (epochemachend). Nikt tak jak on nie był przy- ny do podobnej pracy. Posiadał olbrzymie i wszechstronne wykształcenie w dziedzinie zarówno filologji słowiańskiej, jako też filologji skandynawskiej. Władał po mistrzowsku metodami nauk psychiczno-socjalnych czyli, po dawnemu, filologicznych. Był też wytrawnym i krytycznie ostrożnym językoznawcą. Każdy szczegół przemyśliwał po wiele razy i był bez żadnego zarzutu sumiennym badaczem.

Niestety, nasze przeklęte czasy nie pozwalają ludziom wrażliwym ograniczać się pracą naukową. Odrywa ich od niej wszetecznica, zwana polityką. Uległ też wabieniom tej uwodzicielki i Rożniecki. Pociągnęła go ku sobie sprawa żydowska, a kiedy w Danji pod batutą Brandesa rozpoczęło się jednostronne i namiętne szczucie na Polaków, wystąpił z płomiennym protestem i obroną niezasłużenie szkalowanych. Oczywiście mógł również unosić się jednostronnie i zanadto uogólniać; ale jeżeli się mylił, mylił się z dobrą wiarą, czego o większości szczujących na Polskę i Polaków nie można powiedzieć.

Przeniósłszy się w r. 1917 z Rosji do Danji, stał się prawdziwym opiekunem i orędownikiem nieszczęśliwych wychodźców i obrońcą nieustraszonym interesów swej drugiej ojczyzny.

Rożniecki był człowiekiem nawskroś i wszechstronnie dobrym, był dobrym dzięki swej wrodzonej dobroci, dzięki swej gołębiej naturze. Będąc sam z natury złym i nie dając folgi swym nagannym instynktom jedynie przez wyrozumowanie i przez stosowanie logiki do zagadnień etycznych, oddaję hołd człowiekowi prawdziwie dobremu, bronionemu przed wykroczeniami przez wrodzone mu szlachetne popędy. Znakomity poeta hiszpański Campoamor powiedział: **„To dos los justos por un bueno“** (wszystkich sprawiedliwych za jednego dobrego). Takim **un bueno** był właśnie Rożniecki.

Prace naukowe Rożnieckiego, dokonane w czasie jego pobytu na wsi, zwróciły na niego uwagę uczonych duńskich i rządu duńskiego. Starali się oni sprowadzić go do Kopenhagi, ofiarowując mu katedrę filologji słowiańskiej, zajmowaną dotychczas przez znakomitego lingwistę Holgara Pedersena. Wojna rozstrzygnęła ostatecznie tę kwestję. W roku 1917 Rożniecki porzucił Rosję i przeniósł się do Kopenhagi.

Rożniecki był w jednej osobie Duńczykiem i Polakiem. Stanowi on żywy dowód, że można

---

się „likwidacją“ pozorną tych zatargów i starć, końcem przyśpieszonym wzamian za trwałość, za podkład dojrzałej dobrej woli i zgodę ugruntowaną na harmonji współdziałania.

Wzburzona, żywiołowa potęga życia huczy i pieni się nad głowami ludzi. Człowiek, który w niedawnym, a wszakże wczorajszym już okresie — przed wielką wojną rozumiał, iż jeno powierzchownie stwierdzą swe panowanie nad wzbierającą falą, dziś widzi, iż wylanego z łożyska ogromu wód zupełnie i, zda się, rozpaczliwie opanować nie może. I to jest powodem, że szuka — czego przez pewien czas, naogół biorąc, zaniechał był i zapomniał — duszy własnej, iskry ducha w sobie i złożonych w tem możliwości nowego stosunku do życia.

Obecny niezaprzeczony objaw tęsknoty religijnej w całym świecie cywilizacji zachodniej, wzmożenie się i rozszerzenie tych aspiracji w porównaniu ze stanem ich przed dziesięciu i ośmiu laty tłumaczą niektórzy „zmęczeniem powojennem“. Dotyka to tylko istotnych przyczyn, lecz ich nie wyczerpuje. Słuszność jest w tem, iż tu rzeczywiście działają skutki wielkiej wojny, lecz natura tego oddziaływania wręcz mylnie określona. W danym wypadku jądro przyczyny stanowi nie bierne znużenie, poddające się gotowemu wyjaśnieniu zawiłych rzeczy, ale ogromna wewnętrzna potrzeba znalezienia w sobie takiego punktu wyjścia, któryby pozwolił d o r o s n ą ć d o p o z i o m u w y d a r z e ń i o p a n o w a ć ż y c i e.

Zawiera się w tem zasadnicza różnica. Ze zmęczenia wypływa bezkrytyczne przyjmowanie gotowych wartości, co w następstwie po pewnym czasie znów wywołuje reakcje i sprzeciw i właściwie uniemożliwią postęp świadomości religijnej w społeczeństwach, a przez to samo w ludzkości i sprowadza duchowy rozwój świata do r u c h u w a h a d ł o w e g o. Natomiast pragnienie opanowania życia, jako zrodzone z najgodniejszego poczucia odpowiedzialności za własny los i z dostojnego przeświadczenia o konieczności czynnej roli wobec wypadków i zagadnień, wiedzie nas do wysiłków twórczych i sprawia c i ą g ł o ś ć r o z w o j u.

W zwrocie do religji, który się dzisiaj zarysowuje na coraz większą skalę, znajdują się pewne momenty znużenia i chęci wewnętrznego ukojenia się za wszelką cenę. Przeoczać tego nie

jednocześnie należeć do dwóch narodowości, o ile chodzi o szlachetne dążenia kulturalne, umysłowe i artystyczne. Trudniej o to w dziedzinie rozboju, bandytyzmu i zachłanności państwowej.

J. Baudouin de Courteney.

Panwitalizm Aleksandra Chiapelli.

Poddając surowej i wyczerpującej krytyce powojenny antywitalizm*), senator Chiapelli podstawowe źródło jego błędów widzi w sprzeczności, jaka tkwić ma u podłoża bergsonowskiej myśli. Ukazując się więc w ostatnich swych wystąpieniach, jako zdecydowany obrońca witalistycznych, życiotwórczych haseł w filozofji, wybitny włoski myśliciel dni dzisiejszych podkreśla zarazem i umacnia swe poprzednie zastrzeżenia przeciwko specyficznemu witalizmowi Bergsona; z zastrzeżeń tych czerpie asumpt do zwalczania bergsonowskich przeciwników na terenie jak najbardziej ogólnym i w świetle najnowszych tych wystąpień daje mniej więcej skończony już obraz całokształtu własnej swej koncepcji, podobnie jak bergsonowska efektownej, poważnej i głębokiej, równie jak bergsonowska zastanawiającej.

Począwszy od zasadniczego swego dzieła „Dalla critica al nuovo idealismo" (1910), w którem rozkwitającej naówczas, wyb[illegible] antyracjonalistycznej przeciwstawia swe własne spokojne neo-idealistyczne stanowisko,—poprzez krytykę witalizmu jednostronnego w „Figure moderne" (1912), — aż do pięknej syntetyzującej książki „Guerra, Amore ed Immortalita" (1916) — senator Chiapelli rozwija w jaknajbardziej konsekwentny sposób własną myśl konstrukcyjną, bergsonowski przepiękny okrzyk: — życie jest wszystkiem — uzupełniając przypomnieniem niemniej pięknem i być może bardziej jeszcze owocnem i twórczem, o tem, że także i wszystko jest życiem.

Dla Bergsona wszechświat, — „wszystko" w jaknajogólniejszym sensie — rozłamuje się na dwie formy nawskroś krańcowe i sprzeczne: na materjalność i na świadomość, na konieczność praw mechanicznych i na nieograniczoną wolność życiowego pędu ludzkiej twórczej woli. Stanowisko, — zrozumiałe najzupełniej jako reakcja przeciwko wszechmechanizmowi deterministycznych koncepcji i racjonalistycznej zachłanności „nauki", pragnącej wszystko na świecie wyjaśnić i sklasyfikować, — staje się z kolei przyczyną nieuniknioną reakcji nowej, która już teraz w samym właśnie „dualiźmie" bergsonistycznym znajdzie świetny punkt zaczepienia dla swych bergsonizm zwalczających wywodów. Powojennym antywitalistom wystarczyło istotnie dowieść, że rozpędowa, bojowa wola życia i pokonywania jest w swem założeniu, w swej naturze i w swej realizacji rozbojem, aby już przez to samo wystąpić odrazu w charakterze zaciekłych przeciwników życia w chronie nieruchomości, działania, które już sam Bergson uznaje za irra- rezygnacji, abnegacji i ucieczki od wszelkiego cjanalne, o którem zaś oni nadomiar powiedzą, że jest jeszcze i zabójczo, do gruntu immoralne.

Dla „panwitalisty" Chiappellego życie nie jest immoralne, ale także nie jest bynajmniej i dosłownie irracjonalne. Twórczy sposób poznania drogą intuitu i świadomości, czy też „wewnętrz-

*) Por, w Nr. 11 „Tygodnia Polskiego" — „Powojenny antywitalizm".

---

można. Ale nie są to przyczyny jedyne; istnieją także, i w silniejszym stopniu, a sięgają głębiej momenty twórcze. Od przewagi tych ostatnich zależy jaśniejsza przyszłość na świecie. Na nich przeto powinno się skupiać uwagę, podkreślać ich znaczenie, wydobywać z nich całą wartość.

Cechą chwili obecnej jest większe niźli kiedykolwiek naprężenie kwestji społecznej, tudzież komplikacja stosunków narodowościowych, wywołanych na widownię — w imię sprawiedliwości i przez rozbicie tyranji mocarstw zaborczych, ale których nieledwie jeszcze nigdzie nie ugruntowano na rzetelnie sprawiedliwej zasadzie. Te oba zagadnienia rozstrzygać się teraz muszą i będą według innej miary i odmiennemi sposobami, niżliby to mogło mieć miejsce przed kataklizmem wojny światowej. Rok 1914-ty wykazał nicość dotychczasowych metod i miar. Był przyznaniem ich bezsilności. Opierały się na wyeliminowaniu wartości i czynników moralnych, zasię oni właśnie hasła ideowe wywiesiły na sztandarach potęg walczących, które instynktownie pojęły, iż bez pomocy tych haseł nie zdołają poprowadzić milionów ludzi do boju — na kalectwo lub śmierć. Wiemy aż nadto dobrze, iż było to hypokryzją ze strony owych potęg, bowiem żadna z nich nie walczyła istotnie „dla idei". Tem niemniej hypokryzja ta właśnie stanowi wymuszone uznanie faktu, iż nadszedł czas, w którym wzięta ma być w rachubę — zapomniana dusza człowieka.

Nastąpiła dziś rzeczywiście konieczność wyraźnego stwierdzenia, że dawniejsze, a tak długo praktykowane sposoby układania stosunków społecznych i politycznych nie posiadały i nie mogły posiadać ani trwania, ani istotnej skuteczności nie miały bowiem sprawdzianu etycznego, czyli podstawy w duszy człowieka. Momenty etyczne zarówno w rozwoju swym, jak i w potrzebie uzasadnienia prowadzą do poruszenia sprawy Religii, albowiem tylko Religia ogarnia i wyraża całokształt stosunku człowieka do bliźnich i do samego siebie. Dlatego w zwrocie religijnym dni naszych tkwić mogą k o r z e n i e w s z y s t k i c h s k ł a d n i k ó w p r z y s z ł e j o r g a n i z a c j i ś w i a t a.

Religja jest rzeczą wiecznie żywą i dlatego w wyrażaniu się jej zgoła nieobojętnemi są indywidualne, społeczne i narodowe cechy. Na tej wielkiej linji rozwoju, idącego w nieskończoność,

nych eksperjencji", który Bergson intelektualistycznego poznania przeciwstawia, jest „od elementów intelektualnych nawskroś nieoddzielny", o ile nie ma być skazanym właśnie na „fragmentaryczność, brak ciągłości, dorywczość". Inteligencja jest nie tylko, jak chce Bergson, funkcją analityczną i rwącą się, jest także siłą syntetyczną. Jeśli istotnie władze myślowe nie są w stanie oddać całkowicie i kompletnie potężnej ciągłości i płynności życia, to w pewnym stopniu mogą ją w idealny niejako sposób znakomicie odtworzyć, podobnie jak kinematografja odtwarza łudząco właśnie pozornie rzecz tak dla nas najzupełniej nieuchwytną, jak ciągłość ruchu.

Wynika to stąd, że o inteligencji bynajmniej apodyktyzmem, że „jest częścią życia i jako taNie można powiedzieć z całym bezwzględnym ka niezdolną do pojęcia całości, z której się rodzi". Dla Aleksandra Chiappellego inteligecja jest raczej „prius vitae" w jaknajpowszechniejszym sensie, jest inicjalnem i preliminarnem uwarunkowaniem wszelkiej możliwości wyczuwania świata zarówno w mechanicznym, jak i w witalnym rzeczy porządku. Sam Bergson świetnie uwydatnił,—choć szczerze i otwarcie go nie nazwał,—racjonalno-woluntarny pierwiastek w swojem intuitywnem poznaniu i intuitywnem przenikaniu i pokonywaniu konieczności przez twórczy pęd ludzkiego ducha. Akt twórczego poznania i twórczego działania rodzi się istotnie zdaniem Bergsona, z tego, co autor „Twórczej ewolucji" nazywa „attention a la vie"—uwagą na życie, uwagą w kierunku życia. „Attention a la vie" polega na kombinacji wspomnienia,—świadomości przeszłego — ze spodziewaniem, — świadomością przyszłego. W ten sposób właśnie, jako „futuryzacja" nagromadzinych danych przeszłości, ukazuje się czyn twórczy. Najwyraźniej w grę wchodzi, obok innych, pierwiastek także nawskroś racjonalnej i intelektualnej, rozumującej i wybierającej woli. Im lepsze zrozumienie przeszłości, tem lepsza konstrukcja rzeczy przyszłych. Duch ludzki nie działa bynajmniej jako przeciwnik, pogromca racjonalnej, harmonijnej realności. Działa jedynie jako jej kierownik o tyle doskonalszy, o ile bardziej jest zgodnym z jej potrzebami, wymaganiami i nawet prawami, których „życie" właśnie ukryte, twórczą siłę drzemiącą w zarodku, oswabadza, wyładowuje, skierowuje nakoniec we właściwym, zgodnym zarówno z jej, jak i ze swojemi własnemi koniecznościami i wskazaniami, sensie.

W tem miejscu rozwojowem panwitalistycznej myśli najnowszego włoskiego filozofa inicjalny dualizm bergsonowski, pokutujący u genjalnego francuza jako swojego rodzaju grzech pierworodny reakcyjnej przeciwko dławiącemu fatalizmowi impulsywności zostaje do gruntu usunięty i z pewnością zgodnie z samą wewnętrzną istotą właściwego bergsonizmu szczęśliwie rozwiany. Teraz już senator Chiappelli będzie mógł Bergsona tem lepiej sobie przyswoić i uzupełnić. Będzie mógł teraz, nie tylko już w swoim własnym, ale także częściowo i w jego imieniu, dać jaknajbardziej zwycięską, jaknajbardziej pocieszającą odprawę rozżalonemu w antyżyciowym pesymiźmie, młodemu rodakowi swojemu, neo-schopenhauryście i neo- nirwaniście, p. Sylwjuszowi Pagani, apostołowi teorji o antyrotatywnym pędzie ku zniszczeniu, w fatalistycznym kręgu kolistym „od Azji do Azji" beznadziejnie zamkniętej, bezpłodnej i tragicznie bezsensownej ludzkiej cywilizacji.

Już samo stwierdzenie, że intelekt, racjo, „logos" nie jest bynajmniej przeciwstawieniem życia i pędu życiowego, lecz jego harmonijnem

---

każdy naród dzięki właściwej psychice swojej zaznacza swój sposób pojmowania Prawdy przewodniej i stosowania jej w biegu życia. Nawet z najbardziej ortodoksyjnego punktu widzenia nie można przeczyć konieczności tych różnic, które zresztą z natury swej nie są odchyleniami lecz raczej silniejszem albo słabszem akcentowaniem pewnych składników, rychlejszem lub późniejszem wydobywaniem na widownię życiową potencyalnie wiecznych wartości.

Jak się wyrazi w tej dziedzinie psychika narodu polskiego? w jakim stopniu stwierdza się na tem polu jego zdolności życiowe? To zapytanie dla nas dwukrotnie ważne. Popierwsze, iż chodzi tu o tak doniosłą stronę naszego własnego rozwoju, powtóre dlatego, że i pod tym względem jesteśmy w trudniejszem od innych narodów położeniu. Mamy więcej do o d r o b i e n i a za czas ubiegły i do z r o b i e n i a dla przyszłego czasu.

Nie sięgajmy tu narazie do odleglejszych wieków, do przyczyn, które spowodowały zatamowanie ruchu religijnego tak żywo i świetnie tętniącego w Złotym okresie. Weźmy pod uwagę tylko to, czego bezpośrednie skutki dziś musimy odrabiać, więc posępną epokę niewoli, a w szczególności tych kilka ostatnich dziesiątków lat, będących zaprawdę skondensowaniem wszystkiego, co krępuje, kaleczy i wypacza normalny rozwój życiowy.

W ówczesnych warunkach istnienia naszego odbywał się z jednej strony odpływ zainteresowania się zagadnieniami religijnemi na rzecz kwestji wydających się bliższemi i bardziej dociskających potrzeb, ze strony drugiej, ale mocą tych samych przyczyn, zanik głębszego zajęcia się treścią życia religijnego na rzecz formy w jej polityczno-narodowościowem znaczeniu.

Z onych dwojakich poczynań wytworzyło się wtedy to, cośmy odziedziczyli po tym okresie, a mianowicie: rozpowszechniona płytkość w sądach o religii i nieznajomość jej istotnej treści. Pierwszą z tych cech ujemnych grzeszą obojętni i przeciwnicy, druga — pospolita większość wyznawców.

Czas jest naglący, by zakończyć i z tym stanem rzeczy. W oswobodzonej Polsce już niemasz na to usprawiedliwienia. Oswobodzona Polska znajduje się natomiast w chwili wymagającej głębokiego i sumiennego stosunku do wszy-

uzupełnieniem i czynnikiem harmonijnego urabiania i doskonalenia, wystarczało najzupełniej, aby zachwiać do gruntu najbardziej zasadniczą, istotną i prawdziwie „filozoficzną“ stroną koncepcji powojennego antywitalizmu. Co do efektownych proroctw na temat takiej czy innej śmiertelności obecnej cywilizacji, Aleksander Chiappelli nie będzie się spierał z p. Sylwjuszem Paganim i z jego anyrotatywnymi i antikinetycznymi wywodami. W ostatniej przepięknej swej książce o Wojnie, Miłości i Nieśmiertelności, jak również w zwartych, treściwych replikach poświęconych antywitalizmowi na łamach Nuova Antologia“ (1919—1920), Chiappelli rozwija i zużytkowuje czysto konkretne, imponujące bergsonowskie argumenty o niewątpliwej niedoskonałości ludzkiego mechanizmu spoglądania i oddziaływania na świat, — intelektu, który, w myśl własnych Chiappellego wywodów, jest niezbędnym, w obecnym stanie rzeczy przynajmniej, pośrednikiem i „izolatorem“ także i dla intuitywnych władz ludzkiego ducha z chwilą gdy mają w świat materjalny przenikać.

Niedoskonałość wspomniana i jasno u Bergsona wykazana sprawia, że część tylko, znikoma z pewnością, z pośród naszych duchowych, życiowych w jaknajogólniejszym sensie, zasobów i możliwości może się uwydatnić, zużytkować i wcielić. Pozostaje cały ogrom przepotężny rzeczy niezużytkowanych, zachowanych, — cały ogrom możliwości twórczych najzupełniej świeżych i najwspanialej życiodajnych. Z pewnością też ma słuszność p. Silvio Pagani, gdy poddaje myśl, że w ciągu obecnego cyklu życiowo-cywilizacyjnego śmiesznie znikoma, prawie nic nie mówiąca część tych możliwości będzie mogła znaleźć swe zastosowanie. Przed duchem ludzkim stoją jednak otworem wciąż nowe, coraz świetniejsze może, nieprzewidziane formy życia i życiowego doskonalenia. „Immortalita“ brzmi ostatnie słowo w tytule ostatniej, w czasie najkrwawszej z pośród wojen w świat wypuszczonej, większej książki p. Aleksandra Chiappelli. O nieśmiertelności mówi ostatni akord najdosłowniej współczesnej filozoficznej koncepcji na romańskim, wielką rzezią narodów zgnębionym Zachodzie. Niewiele oczywiście i niedostatecznie można było tu u nas o koncepcji owej opowiedzieć. Czas jednak może nadejdzie, że i w przysłowiowej krainie mogił, krzyżów i życiowego smutku, pod tchnieniem swobody, nadziei i pociechy najwyższej w produktywnem działaniu zrodzi się zainteresowanie prawdziwe i szczerze impulsywne wiedzą radosną i wiedzą głęboką zarazem. Oczekując i wpatrując się w szczęśliwszych od nas, wszyscy z pewnością będziemy wierzyli głęboko i niezłomnie, że właśnie wiary panwitalistycznej w rodzaju wiary włoskiego zaszczytami w swym kraju obsypanego filozofa, wiary w nieskończone twórcze życia możliwości Polsce i polakom najbardziej chyba, najnieodzowniej potrzeba.

Tadeusz Erenberg.

---

stkich czynników rozwoju, a więc w pierwszym rzędzie do tej sprawy, tak ważnej, mającej w sobie możliwości nowego porządku świata.

Że czas ten przyszedł i że nagli, dowodzą tego nietylko twierdzenia teoretyczne. Mówią za tem fakty bardzo znamienne. Oto w tym zwrocie religijnym, który się wprawdzie jeszcze nie jakąś ogólną falą, ale coraz częstszemi przejawami i w coraz liczniejszych punktach przeciwstawia obojętności z niedawnych dni, występują nietylko jednostki starsze, ale — i to w znacznej przewadze — grupy młodzieży.

W młodości jest czucie i wołanie jutra. Młodzież dążeniami swojemi składa świadectwo duchowi nadchodzącej epoki.

W fakcie tym zawiera się ogromna wartość dla rozwoju religijnego Ojczyzny naszej. Mieści się w nim rękojmia, że będzie to właśnie rozwój i postęp, a nie pewien moment w międzybiegunowych poruszeniach wahadła — jaknajbardziej tragicznych, gdyby się ludzkość wyzwolić z tego nie miała.

Fakt, iż pośród młodzieży przejawia się ten dzisiejszy wzrost uczucia religijnego, sprowadza do minimum obawy działania w tym wypadku przyczyn zmęczenia, natomiast czyni wszelką nadzieję, iż genezą jest tu dążność do wynijścia z chaosu przez twórcze opanowanie życia.

Stwierdzenie najbardziej dodatnich i pocieszających objawów nie wystarcza, by stały się one już przez to samo trwałym i przynoszącym owoce czynnikiem życiowym. Potrzeba ciągłość ich zapewnić przez wychowanie pożądanego kierunku w sobie i w środowisku mającem podobne aspiracje. W każdym nowonarodzonym ruchu jest chwila, którą uchwycić, zrozumieć i zaakcentować należy, bowiem rozstrzyga o dalszych kolejach, o perspektywach rozkwitu lub wypaczenia. Właściwa pedagogika musi być stosowaną, tem bardziej gdy chodzi o żywioły młode, mające się dopiero wypowiedzieć i pełne soków przyszłości.

(D. n.). **Jadwiga Marcinowska.**

LITERATURA I SZTUKA.

K. STANISŁAWSKI

Aktor i rzemiosło.

II.

Mowa i szablony głosowe.

Dla aktorów-rzemieślników niezbędne są do referowania widzom tekstu swych ról gromkie głosy, często przechodzące w krzyk, potrzebna jest dykcja natrętnie wyrazista. Głośna i wyrazista mowa niezbędna jest nietylko dlatego, że jest dosłyszalna we wszystkich kątach teatrów, gdzie aktorzy-rzemieślnicy muszą grywać, lecz podobnie śmiała mowa konieczna jest głównie z tego względu, że krzepi i ośmiela widza.

Przypomnijcie sobie dźwięczne głosy aktorskie z tłustem wymawianiem samogłosek, ze spadzistemi, syczącemi, świszczącemi lub trzeszczącemi spółgłoskami, z wykrzykami oddzielnych sylab, często wykoszlawiającemi akcent logiczny i samo znaczenie.

Przypomnijcie sobie aktorską słodkawą śpiewymawianie sylab i zbytnie domawianie każdego słowa i wszyskich bez wyjątku zakończeń frazesów.

Przypomnijcie sobie aktorską słidkawą śpiewność przy deklamacji z krotochwilnością dykcji, tak osławioną w pieśniach cygańskich.

Skąd wzięły się te deklamacyjne przewlekłe śpiewy, głosowe przejścia z jednego tonu w drugi i kadencje patosu aktorskiego? Dobry i zły smak rzemieślnika czerpał je zewsząd: w ludowych wykrzykach publicznych obwoływaczy i wędrownych kramarzy, w zaklęciach starych kobiet, w jękach płaczek, w zawołaniach śpiewaków kościelnych, w czytaniu księżem w kościele w gwarze bajarzy i t p. ładnych i niesmacznych konwencjonalizmach, usiłujących zastąpić dźwiękiem i intonacją istotę duchową nieistniejącego uczucia.

W istocie, w poszczególnych wypadkach, t. j. przy odtwarzaniu życia, tego rodzaju charakterystyczna maniera jest typowa i dlatego wskazana, lecz nie można kłaść tych życiowych konwencji u podstaw mowy aktorskiej.

Ogólno-aktorski język, raz i na zawsze wypracowany, ożywia się wielu sposobami, kopiującemi nieistniejace u rzemieślników przeżywanie. Tak, naprzykład: siła i słabość uczucia interpretowana jest przez siłę czy słabość samego dźwięku głosu, dochodzącego to do krzyku, to do szeptu. Energja temperamentu ilustrowana jest także w dosłownem znaczeniu .t. j. przyspieszeniem tempa i wzmożeniem rytmu mowy.

Miłość zawsze odtwarzana jest za pośrednictwem śpiewne mowy; namiętność rozwija spółgłoski i rwie słowa: energja siarczyście wybija sylaby: heroizm lubi zapalczywe głosowe upiekszenia i nadużywa krzyku. Liryzm doprowadza mowe do śpiewu, zwłaszcza przy westchnieniach zachwytu lub rozpaczy.

Nawet oddzielne wyrażenia, zdania i słowa mają swój szablon, zastępujący duszę słowa a wzięty w dosłownem znaczeniu słów. Tak np. wygłaszając zdanie: „po-w-oo-lny szereg dni-i, dłu-u-gich wie-cz-oo-rów“ aktor-rzemieślnik będzie usiłował ilustroweć głosem długość dnia i wieczoru przeciągło—śpiewną dykcją, przyczem, jeżeli te dni i wieczory są tęskne, to aktor zabarwi głos odcieniem smutku, jeżeli zaś mają być one wesołe, również i tembr głosu będzie jasny.

W zdaniu „wtem rozległ się krótki dźwięk“ —aktor-rzemieślnik nieodwołalnie odtworzy głosem i mimiką—nieoczekiwanie i zdziwienie przy słowie „wtem“, zaś słowo „krótki“ odda dźwiękiem krótkim.

Jak silnie należy zagłębić się i skupić w sobie samym przy zdaniu „Oto ono, to straszne uczucie“. By wypowiedzieć te słowa szczerze w chwili silnego przeżycia, niezbędne jest, przedewszystkiem, zatopienie się w sobie. W rzemiośle aktora nie o to chodzi: rzemiosło zabarwia tylko słowa „oto ono“ — tonem nawskroś przejmującym, zaś słowo „straszny“ — barwą strachu.

I w danym razie, o ile uczucie strachu tyczy się miłości t. j. uczucia jasnego, aktor nie będzie skąpił jasnych otwartych dźwieków i miłosnej słodyczy, lecz jeśli słowa te tyczą się ponurego uczucia złości, zazdrości i t. p., wówczas aktor-rzemieślnik nie poskąpi spółgłosek; dadzą się słyszeć dziesiątki posuwistych „rrrr“, świszczących „ssss“, syczących „szszsz“ i nosowych „mama“, wydłużanie prostego słowa „straszne“ do rozmiarów „sssttttrrrasznne“.

Jakże często mówi się w życiu najzupełniej prosto i z najbardziej błahego powodu wykrzykując „Boże “ lub „nie mam sił“. Są to przysłowiowe sentencje. Co innego dzieje się na scenie. Aktor-rzemieślnik skorzysta i z tych pustych okrzyków dla swych wynalazczych aktorskich celów. Nada on słowom znacznie wieksze znaczenie, aniżeli na to zasługują; krzyknie lub zajęczy; zasępi się lub schwyci za głowę, zaciśnie ręce na czole i wyrazi swym głosem rozpacz lub utratę sił, choćby nawet nie było to bezpośrednio związane z rolą.

Słowa „zemsta“, „przekleństwo“ nałogowo ciągną aktora ku tonom tragicznym,—równie jak słowa „duży, mały, wysoki, długi, szeroki“— ciągną ku wyobrażeniowemu pomiarowi rozmiarów i przestrzeni, zaś słowa „słodki, gorzki“—ciągną ku ilustracji smakowej; „nikły, wstretny, dobry, zły, wesoły, smutny, młody, stary i t. d. — pchają rzemieślnika ku wyobrażaniu prostego znaczenia, słów nie zaś ku temu wewnetrznemu sensowi zdania, w którym użyte zostało dane słowo.

Prócz wyrazistości mowy i jej obrazowości, aktorzy-rzemieślnicy zabiegają i o charakterystyczność mowy, i w tym celu wymyślono całe kolekcje szablonów.

Wojskowi nieodwołalnie mówią na scenie basem z ostrem obcinaniem słów, jak przy polowej komendzie, fircyki grasseyują, szeplenią i przeciągają pewne samogłoski, chłopi mówią zawsze z jąkaniem, odkrytym wulgarnym głosem.

przednicy mówią drobniutkim kruchym językiem

Rzemiosło wypracowało jakąś specjalną szablonową mowę dla ludzi różnych lat i charakterów. Tak naprzykład młodzi ludzie i zwłaszcza panny, tembardziej naiwne, mówią na bardzo wysokim rejestrze, często przechodzącym w pisk. dojrzali, rozumn mężczyźni i kobiety opierają mowe na bardziej nizkich i zgęszczonych dźwiękach*).

Tłomaczył **E. Świerczewski.**

Z Erotyków.

I.

Ptaku nocny, coś bywał za świata rubieża
I widziałeś umarłych,—mów, co czynią?—Leżą.
A co jeszcze? — Wciąż leżą bez przerw, bez wytchnienia,—
Niema dla nich ni wiatru, ni słońca, ni cienia,
Nie modlą się, nie płaczą, nie śnią i nie wierzą,
I nic,—tylko tak leżą! Nic,—tylko tak leżą!

Dziewczyna, co się mojej sprzeciwia przemocy.
Niechaj w łożu obłędnem polegnie tej nocy,—
Bezoporna, bezwolna, bezsilna, bezwiedna.
Niechaj, na mnie czekając, leży sama jedna,
Niech nie modli się, nie śni, nie płacze, nie wierzy
I niech tylko tak leży, niech dla mnie tak leży!

II.

Nikt nas nie widział, chyba te ćmy,
Co puszyścieją w swym locie,—
I tak nam słodko, że tylko my
Wiemy o naszej pieszczocie.

Lecz twoja siostra zerwany wrzos
Wpięła do twoich warkoczy,—
A mówiąc z nami, ucisza głos,—
A, milknąc,—opuszcza oczy...

Biega po sadzie i wzdłuż i wszerz,
Zaprzepaszczona w swym śpiewie,—
I tak nam słodko, że ona też
Wie o tem, czego nikt nie wie...

III.

Tam na rzece jest napewno łódź,—
Trzeba tylko fale wiosłem pruć!

I napewno jest za rzeką—dal,—
Trzeba tylko natężyć swój żal!

Patrzysz na mnie, oniemiała snem,
Nic nie mówisz, ale wszystko wiem...

Wiem ja, kiedy sen mam przerwać twój,
I wiem, kiedy ust całować znój...

Chętna ciału suknia twoja lgnie
Do tych bioder, co kochają mnie!

Wiem ja wszystko, ale czemu łkam,—
Tego nie wiem, nie pojmuję sam!

Bolesław Leśmian.

---

*) Druk dalszego ciągu artykułów Stanisławskiego ulegnie zwłoce aż do nadejścia tekstów oryginału. (Przyp. tłom.).

KRONIKA LITERACKA.

Sztambuch. Skarbnica romantyzmu. Zebrał i wydał Stanisław Wasylewski. Ozdobiła J. Harland-Zajączkowska. Nakładem A. Altenberga i J. Mortkowicza. Lwów—Warszawa. 1922. P. Stanisław Wasylewski zajął śród historyków polskiej obyczajowości zupełnie specjalne miejsce: zamiast słabo pozszywanych faktów i fakcików tworzy obrazy przeszłości, obrazy nietylko malowane z niezmierną miłością przedmiotu. ale i ogromnym wdziękiem. Wszystkie jego dotychczasowe książki zbudowane są z wielkim kunsztem. Są to czarujące gabloty polskie, w które powstawiano barwne, żywe, dobrze w stylu wyodrębnione figurki, ułożone odrazu w scenach rodzajowych. Gabloty te mają niewątpliwie bardzo różowe szkła, przez które widz ogląda nie tę przeszłość, którą mu pokazywali historycy dziejów i literatury ale przeszłość mgłami marzenia osnutą, poufną, pełną sentymentu, „nastroju“, rozkoszną i wypieszczoną. Wasylewski jest poetą przeszłości polskiej, więc czuje dusze minionego życia lepiej i głębiej od uczonego badacza. Stąd płynie ogromna popularność jego książek, jak „U księżnej pani“, „Na dworze króla Stasia“, „W srebrnym dworku z modrzewia“, „Romans prababki“, „O miłości romantycznej“.

Te samą popularność zyska niewątpliwie „Sztambuch“. Sam pomysł jest gablotowo-antologiczny: z najprzeróżniejszych sztambuchów epoki romantycznej wybrano [illegible] drobnych utworów i rysunków wybitnych pisarzy, mężów stanu, malarzy, artystów etc., od Trembeckiego do Juliusza Kossaka. Całość, naśladującą podłużnym kształtem sztambuch, poprzedza przemiły jak zwykle, wstęp autora o Sztambuchu. „W [illegible] postać bywa nieraz zaklęta dusza epoki całej. W żyrandolu wersalskim pokutuje duch świetlistego Ludwika, mnich średniowieczny skrył się w inicjałach psałterza, czarny krzyżyk na szyjce grottgerowskiej jest mieszkaniem roku 63-go, w bronzach starego sekretarzyka śni o sławie legenda napoleońska. Zaś w sztambuchu uwięziono dusze „dzieweczki, która nie słucha“— „romantyczność“. Kwintesencję takiego domowego skarbczyka romantycznego podaje Wasylewski z nieporównaną gracją.

Złota legenda błogosławionego Jakóba de Voragine. Przełożył i wstępem opatrzył Leopold Staff. Poczet pierwszy. 1922. Warszawa. Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. Świetny tłomacz „Kwiatków“ św. Franciszka z Assyżu, L. Staff przyswoił językowi polskiemu

drugą sławną księgę średniowiecza, t. j. „Złotą legendę". Jest to obszerny zbiór żywotów świętych, napisany w trzynastym wieku przez dominikanina, Jakoba de Voragine z Genui. Żywoty rozłożone są na każdy dzień w roku. „Poczet pierwszy" przekładu doprowadzony został do dnia 15 marca. „Złota legenda" wywołała swego czasu niesłychany entuzjazm. Do chwili wynalazku druku znana była w odpisach, ozdobionych przepięknemi iluminacjami i miniaturami. Biblioteka Narodowa w Paryżu posiada dziewięć takich manuskryptów, wzbudzających podziw wykonaniem. Poraz pierwszy „Złota legenda" ukazała się w druku w r. 1474 i stała się tak owocną, że w ciągu XV i XVI wieku wyszła w 50-ciu zgórą edycjach i tłomaczoną była na wiele języków europejskich. Do Polski, niestety, nie dotarła ani w pierwszej epoce druku, ani później. Liczne życiorysy „Złotej legendy" podzielić można na trzy kategorje: opowiadania naocznych świadków, uzupełnienia starożytnych dokumentów i wreszcie legendy ludowe, nie oparte na żadnej podstawie. Od początku XVII wieku różni hagiografowie a w szczególności sławni b o l l a n d y ś c i usiłowali wydzielić te różne elementy składowe „Złotej legendy". Wielu tłomaczów i badaczów księgi raziły niektóre jej dziwactwa i naiwne nieprawdopodobieństwa średniowieczne w tym samym stylu tworzone, który spotykamy u Reya. Bollandus, który wysoko cenił „Złotą Legendę", oburzał się na niesmaczne etymologie imion świętych, traktowane ze średniowieczną dowolnością i niedorzecznością. Staff etymologje te usunął zupełnie. Dzieło przełożył pięknym językiem nowożytnym, ze szczerym entuzjazmem z głęboką wiarą, że „wnikliwy czytelnik wyczyta w tej pozornie naiwnie prostej książce — naukę HEROIZMU".

OSCAR WILDE.

Sfinks bez tajemnic.*)

Pewnego popołudnia siedziałem na werendzie Cafe de la Paix, przyglądając się wspaniałości i nędzy paryskiego życia i rozmyślając przy kieliszku wermutu nad dziwnym, roztaczającym się przedemną, widokiem przepychu i biedy, gdy nagle zawołał mnie ktoś po imieniu. Obejrzałem się, i ujrzałem lorda Murchisona. Nie widzieliśmy się od czasu wspólnego naszego pobytu w Kolegjum, przed dziesięciu laty mniej-więcej. Zachwycony byłem, naturalnie, tem spotkaniem, to też zamieniliśmy ze sobą serdeczny uścisk dłoni. Byliśmy przyjaciółmi w Oksfordzie. Niezmiernie lubiłem go za jego urodę, wesołość i wysokie poczucie honoru. Mówiliśmy o nim, że byłby najlepszym chłopcem, gdyby nie miał zwyczaju mówienia zawsze prawdy; zdaje mi się jednak, że podziwialiśmy go właśnie za tę jego otwartość! Znalazłem go nieco zmienionym. Był dziwnie niespokojny i zmieszany, sprawiał też wrażenie człowieka gubiącego się w jakiejś dręczącej go niepewności. Czułem, że nie mogła ona być wynikiem modnego dzisiaj sceptycyzmu, bowiem Murchison był jednym z najbardziej nieprzejednanych torysów i wierzył równie święcie w izbę Lordów, jak w Pięcioksiąg. Wywnioskowałem więc, że musi tkwić w tem jakaś kobieta, i zapytałem go, czy jest już żonaty.

— Nie znam się dostatecznie na kobietach — brzmiała odpowiedź.

— Ależ, mój drogi, — rzekłem — kobiety są po to, żeby je kochać, a nie, żeby się na nich znać.

— Nie mogę kochać, o ile nie mogę ufać — odparł.

— Mam wrażenie, że ukrywasz jakąś tajemnicę. Wyjaw mi ją, Geraldzie.

— Przejdźmy się za miasto. Zbyt tu tłoczno — rzekł.

— Nie, nie tą żółtą dorożką... byle nie żółtą... O, widzisz, tam, ta ciemno-zielona będzie dobra.

W kilka minut później mknęliśmy obaj bulwarami w kierunku kościoła S-tej Magdaleny.

— Dokąd jedziemy? — zapytałem.

— Dokąd chcesz! chociażby do restauracji w lasku Bulońskim; zjemy tam obiad i opowiesz mi wszystko o sobie.

— Chcę najpierw usłyszeć o tobie — odparłem. — Opowiedz mi twoją tajemnicę.

Zamiast odpowiedzi wyjął z kieszeni mały, oprawny w srebro, safjanowy futeralik, który mi podał. Otworzyłem go i znalazłem wewnątrz fotografję kobiety. Była wysoka, szczupła, a rozpuszczone włosy i wielkie, nieco zamglone oczy, dziwnie malowniczy nadawały jej wygląd. Całą jej postać spowijały bogate futra.

— Co myślisz o tej twarzy? — zapytał —

Przypatrzyłem się uważniej. Wydała mi się twarzą osoby, otoczonej aureolą jakiejś tajemnicy, nie mógłbym wszakże powiedzieć, czy złej, czy dobrej. Piękno jej było jakgdyby wykwitem licznych tajników, a słaby uśmiech, okalający jej usta, był zbyt nieuchwytny, aby można było nazwać go słodkim.

— No i cóż? — zawołał niecierpliwie — co powiesz?

— Nazwałbym ją Giocondą w futrze — odparłem. — Opowiedz mi o niej coś więcej.

— Nie teraz — rzekł — po obiedzie — i zaczął mówić o innych rzeczach.

Jak tylko przyniesiono nam czarną kawę i papierosy, przypomniałem Geraldowi jego przyrzeczenie. Zagabnięty w ten sposób, wstał z krzesła, przeszedł się kilka razy po pokoju, wreszcie rzucił się na fotel i zaczął opowiadać mi następującą historję:

— Pewnego wieczora szedłem przez Bond Street około 5-ej popołudniu. Przez chwilę ruch cały musiał zostać wstrzymany z powodu olbrzymiego nagromadzenia wszelkiego rodzaju pojazdów, które utworzyły rodzaj zatoru. Tuż przy chodniku stała mała żółta karetka, która nie wiem dlaczego, zwróciła moją uwagę. Kiedy przechodziłem obok niej, wyjrzała z wnętrza ta sama twarz, którą pokazałem ci w kawiarni. Nie

*) W wydanym po polsku tomiku nowel Wilde'a brak powyższej, nie tłomaczonej dotychczas nowel (Pryp. tłom.).

mogłem oderwać od niej oczu. Przez całą noc i cały następny dzień nie wychodziła mi z pamięci. Spacerowałem po uprzykrzonej głównej alei Hyde Parku, zaglądając do wnętrza każdego powozu i oczekując na małą żółtą karetkę, nie mogłem jednak znaleźć mojej pięknej nieznajomej, i w końcu zacząłem przypuszczać, że twarz jej przyśniła mi się może tylko.

W tydzień później zaproszony byłem na obiad do pani de Rastail. Mieliśmy zasiąść do stołu o 8-ej, ale o 8½ siedzieliśmy jeszcze w salonie w oczekiwaniu spóźnionego jakiegoś gościa. Wreszcie rozwarły się szeroko drzwi i służący oznajmił lady Abroy. Była to ta sama właśnie kobieta, której szukałem. Weszła wolnym bardzo krokiem, podobna w srebrzysto-szarych swoich koronkach do promienia księżycowego. Ku zachwytowi mojemu okazało się, że miałem ją prowadzić do stołu. Gdy już zajęliśmy miejsca, zauważyłem zupełnie niewinnie:

— Zdaje mi się, że miałem przyjemność widzieć panią przed kilkoma dniami na Bond Street.

Na słowa moje zbladła jak płótno i rzekła przyciszonym głosem:—Proszę, nie mów pan tak głośno, mógłby kto usłyszeć.

Zrobiło mi się bardzo przykro, że tak fatalnie rozpocząłem naszą znajomość, zmieniłem też natychmiast temat i zacząłem krytykować francuskie sztuki teatralne. Towarzyszka moja mówiła bardzo mało, zawsze tym samym cichym, melodyjnym głosem, jakgdyby w obawie, że ją ktoś podsłuchuje.

Zakochałem się w niej odrazu gwałtownie i bez pamięci, a nieuchwytna jakaś, otaczająca ją, atmosfera tajemniczości podniecała w najwyższy sposób moje zaciekawienie.

Wkrótce po obiedzie odeszła, ale zanim to uczyniła, zapytałem, czy wolno mi będzie odwiedzić ją. Zawahała się przez chwilę, rozejrzała się dokoła, aby zobaczyć, czy niema nikogo w pobliżu, i wreszcie rzekła: — Dobrze, jutro o kwadrans na piątą.

Prosiłem panią de Rastail, aby mi opowiedziała coś bliższego o niej, nie mogłem jednak dowiedzieć się niczego więcej pozatem, że jest wdową i posiadaczką pięknego domu w Park Lane. Że zaś uczonye iteieietaoinshrdlucmfwy szy ten szczegół, zaczął się rozwodzić na temat wdów, mających jakoby stanowić dowód, że osobniki, bardziej przystosowane do małżeństwa, przeżywają współmałżonków, pożegnałem się i poszedłem do domu.

Następnego dnia stawiłem się punktualnie na oznaczoną godzinę w Park Lane, ale oznajmiono mi tutaj, że lady Abroy tylko co wyszła. Zdziwiony i zgnębiony poszedłem do klubu, i — po długim namyśle — napisałem do niej list z zapytaniem, czy nie mógłbym sprobować szczęścia innego dnia o tej samej porze. Przez kilka dni nie było odpowiedzi; wreszcie otrzymałem bilecik, oznajmiający, że zastanę ją w domu w niedzielę o 4-ej. Bilecik dziwne nadto zawierał post scriptum: — Proszę, nie pisz pan do mnie pod tym adresem. Wytłomaczę panu powód, jak się zobaczymy.

W niedzielę przyjęła mnie i była czarująca. Kiedy odchodziłem, prosiła, abym, w razie potrzeby pisania do niej kiedykolwiek, adresował listy „do pani Knox, na ręce księgarza Whittakera przy Green Street". — Są powody — dodała — dla których nie mogę otrzymywać listów w moim własnym domu.

Widywałem ją bardzo często w ciągu tego sezonu. Atmosfera tajemniczości nie opuszczała jej nigdy. Czasem przychodziło mi na myśl, czy nie pozostaje ona we władzy jakiegoś mężczyzny, sprawiała jednak wrażenie istoty tak nieprzystępnej, że nie mogłem uwierzyć w nic podobnezy wzbudza zaufanie?
go. Niepodobna było ostatecznie nic wywnioskować, bowiem przypominała ona jeden z owych rzadkich kryształów, jakie widujemy czasem w muzeach, chwilami przejrzystych, a chwilami zamglonych.

Wkońcu postanowiłem oświadczyć się o jej rękę: znużyła mnie nieustanna tajemniczość, jaką otaczała moje odwiedziny u niej i do jakiej zmuszała mnie przy pisaniu kilku wysłanych do niej listów. I tym razem napisałem pod adresem owej księgarni, zapytując, czy zechce przyjąć mnie w poniedziałek o 6-ej. Odpowiedziała twierdząco, co mnie wprawiło w stan najwyższego upojenia. Byłem zakochany w niej pomimo całej jej tajemniczości, jak mi się wówczas zdawało, a jak widzę dzisiaj, właśnie z p o w o d u tej tajemniczości. Może zresztą mylę się. Może kochałem w niej tylko kobietę. Faktem jest, że otaczająca ją tajemnica niepokoiła mnie, doprowadzała mnie niemal do szału. Ach, po cóż przypadek naprowadził mnię na jej ślady?

— Wykryłeś ją zatem? — zawołałem.

— Zdaje mi się, że tak — odparł.—Ale osądź sam:

— W poniedziałek w południe poszedłem na drugie śniadanie do mojego wuja, i około 4-ej znalazłem się na ulicy Marylebone. Wuj mój, jak wiesz, mieszka w okolicy Regent Parku. Chciałem iść na Piccadilly, wybrałem więc krótszą drogę, przez kilka małych, nędznych uliczek. Nagle, w niewielkiej odemnie odległości, dostrzegłem lady Alroy, gęsto zawoalowaną i idącą bardzo szybko. Doszedłszy do ostatniego domu w uliczce, weszła na kilka stopni i otworzyła kluczem od zatrzasku drzwi wejściowe, za któremi natychmiast znikła. — Oto jej tajemnica! — pomyślałem i przyjrzałem się uważnie domowi. Sprawiał wrażenie jednej z owych kamienic, specjalnie przystosowanych do wynajmowania pojedyńczych pokojów. Na progu leżała chusteczka, którą lady Abroy upuściła widocznie w pośpiechu. Podniosłem ją i schowałem do kieszeni. Zrobiwszy to, stanąłem niezdecydowany, co mi wypada czynić dalej. Po namyśle doszedłem do przekonania, że nie mam prawa szpiegować jej, pojechałem więc do klubu. O szóstej byłem u niej. Leżała na kanapie w luźnej domowej sukni ze srebrzystej materji, spiętej kilkoma opalami oryginalnej formy, które stale nosiła. Wyglądała prześlicznie.

— Rada jestem bardzo, że pana widzę — rzekła — nie wychodziłam dzisiaj przez cały dzień.

Spojrzałem na nią zdumiony i, wyciągając chusteczkę z kieszeni, podałem jej. — Upuściła ją pani dzisiaj po południu na ulicy Cumnor — rzekłem spokojnie.

Wyraz przerażenia odmalował się w jej oczach. Nie wyciągnęła ręki po chusteczkę.

— Co pani tam robiła? — zapytałem.

— Jakie ma pan prawo pytać mnie o to?— odpowiedziała.

— Prawo człowieka, który panią kocha! — oświadczyłem — przyszedłem prosić panią o jej rękę.

Za całą odpowiedź ukryła twarz w dłoniach i wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Musi mi pani opowiedzieć wszystko—dodałem.

Wstała i, patrząc mi prosto w twarz, rzekła: — Nie mam panu nic do powiedzenia, lordzie Muretison.

— Miała pani rendez-vous z kimś! — zawołałem — to jest właśnie ową tajemnicą pani!

Zbladła śmiertelnie i rzekła: — Nie widziałam się z nikim.

— Dlaczego nie chce pani powiedzieć prawdy? — powtórzyłem błagalnie.

— Powiedziałam prawdę — odparła.

Upór jej doprowadził mnie do wściekłości. Nie pamiętam już, co powiedziałem, ale wiem, że rzuciłem jej w twarz najpotworniejsze oskarżenia. Wkońcu wybiegłem z jej domu, jak opętany. Nazajutrz dostałem od niej list, który odesłałem nierozpieczętowany, i wyjechałem z Alanem Colvilliem do Norwegji. Po miesiącu wróciłem — i pierwszą rzeczą, którą wyczytałem w Gazecie Porannej, była wiadomość o śmierci lady Alroy. Zaziębiła się w Operze i po pięciodniowej chorobie umarła na zapalenie płuc... Zamknąłem się w mojem mieszkaniu i nie przyjmowałem nikogo. Tak bardzo, tak szalenie ją kochałem... Wielkie nieba! jakże ja kochałem tę kobietę!...

— Poszedłeś do owego domu? — zapytałem.

— Tak — odparł. — Pewnego dnia poszedłem na ulicę Cumnar. Nie mogłem się powstrzymać, niepewność zbyt mnie dręczyła. Zastukałem do pamiętnych drzwi, które otworzyła mi jakaś bardzo czcigodnie wyglądająca matrona. Zapytałem, czy nie ma pokoju do wynajęcia.

— Owszem, proszę pana — odrzekła—przypuszczam, że mogę odnająć salonik. Pani, która go wynajęła, nie była już tutaj od trzech miesięcy; komorne nie opłacone za cały ten czas, mogę więc chyba uważać pokój za wolny.

— Czy to ta sama pani? — zapytałm, pokazując jej fotografję lady Alroy?

— Tak, to ona!—zawołała.—A kiedy wróci?

— Ta pani umarła — odparłem.

— Co pan mówi?! Czy to możliwe?... Była najlepszą moją lokatorką. Płaciła mi trzy gwineje tygodniowo tylko za to, że od czasu do czasu siadywała w moim saloniku.

— Czy spotykała się tutaj z kimśc — zapytałem.

Ale właścicielka mieszkania gorąco zaprzeczyła, zapewniając, że lady Alroy przychodziła zawsze sama. i z nikim się tutaj nie spotykała. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć, dałem jej więc suwerena i poszedłem.

— I cóż powiesz na to wszystko? Czy wierzysz, że ta kobieta mówiła prawdę?

— Jakiż był w takim razie cel chodzenia lady Alroy do tego saloniku?

— Po prostu ten, że lady Alroy opanowana była manją tajemniczości. Wynajęła salonik dla przyjemności chodzenia tam w ukryciu, w gęstej woalce, i wyobrażania sobie, że jest bohaterką romansu. Miała manję tajemniczości, ale ona sama była sfinksem bez tajemnicy.

— Czy naprawdę tak myślisz?

— Jestem tego pewien. — Wyjął safjanowy futeralik, otworzył go i wpatrzył się w fotografję.

— Nie, nie rozumiem... — wyszeptał.

LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

Angielski przekład **„Placówki“ Prusa.** Londyńska księgarnia nakładowa Humphrey Milord“ podjęła wydawnictwo zbiorowe p. t, **„The World‘s Classics“**—klasycy wszechświatowi. W zbiorze tym ukazał się też „Wybór opowiadań polskich“ —**„Selected Polish Tales“**—o czem donosiliśmy już w krótkiej wzmiance w grudniu roku ubiegłego. Obecnie dopiero, otrzymawszy książkę, mogliśmy stwierdzić, że lwia jej część przypada na „Placówkę“ Prusa—zajmuje bowiem przeszło połowę; na resztę złożyły się: Adama Szymańskiego „Szczypta soli“ i „Stolarz Kowalski“; Stefana Żeromskiego „Przeczucia“; Władysława St. Reymonta „Śmierć“; J. Kaden-Bandrowskiego „Wyrok“, Rygier-Nałkowskiej „P.P.C.“.

Tłomaczyły ten „wybór opowiadań“ p. Elsa C. M. Benecke i p. Marja Busch, która po zgonie pierwszej z nich poprawiła jej przekłady; nadto zaopatrzyła książkę w notatki biograficzne o autorach, nierównomierne w stosunku do ich talentu i stanowiska, jakie w literaturze ojczystej zajmują. Nie jest też pani Bosch z literaturą naszą obznajmiona; dziedzina to dla niej widocznie obca, do której „trafiła“ przypadkowo, skoro mogła napisać, że szkic Reymonta „Śmierć“ jest wzięty z tomu zatytułowanego „Chłopi“, obejmującego potężne realistyczne obrazy z życia wiejskiego“. Czytelnik angielski jest zatem pewnie przekonany, że ci „Chłopi“, to zbiór nowel z życia wieśniaków polskich, nie domyśla się, że dzieło Reymonta to epopea polskiego ludu wiejskiego.

Z oceną krytyczną tych „polskich opowiadań“, spotkaliśmy się dotąd w **Manchester Guardian,** którego recenzent literacki pisze treściwie a z wielkiem uznaniem tylko o Prusie i o Szymańskim.

* **Wystawa Dantejska w Bibliotece Laurenziana.** Śród rozmaitych poczynań pamiątkowych, mających na celu uczczenie we Włoszech 600-tnej rocznicy zgonu Dantego, najdonioślejsze znaczenie posiada wystawa książek i rękopisów, mających związek z poetą. Wystawa zajmuje

siedem pokojów w bibliotece Laurenziana we Florencji, a urządzona została staraniem naczelnego jej bibliotekarza dra Guido Biagi. Nieoszacowana jest wartość historyczna i artystyczna tej kolekcji, nagromadzonej przez trzy wielkie księgozbiory — Nazionale czyli Maghabecchiana, które dały 363 książki i manuskrypty oraz Laurenziana, która, wystawiła ich 180.

Manuskrypty są przeważnie odpisami części lub całej „Boskiej Komedji" oraz licznych komentarzy do nieśmiertelnego arcydzieła, napisanych przez Boccaccia, Jacopo della Lana, Benvenuta da Imola i innych. Jeden z najpiękniejszych odpisów „Boskiej Komedji", iluminowany przedziwnemi minjaturami, jest dziełem Giovanniego di Guglielmo de'Berlandia, wykonanem w roku 1380. Rękopisy, pochodzące z w. XV-go, są prawie wszystkie ilustrowane scenami z poematu, a niektóre i portretem Dantego. Około 90 manuskryptów zawiera pomniejsze utwory wieszcza. Jest tam tom „Rymów", przepisany jakoby przez Petrarkę; jest inny, przepisany przez Boccaccia a zawierający listy Dantego do kardynałów włoskich, do przyjaciela poety Cino da Pistoia, i niektóre eklogi. Między książkami znajduje się pierwsze wydanie drukowane „Boskiej Komedji", które wyszło w roku 1472 w Foligno. W wydaniu weneckiem z r. 1555-go poemat pierwszy raz zatytułowany jest „La Divina Comedia", wszystkie poprzednie zaś wydania miały tytuł „L a C o m e d i a".

Specjalne półki zajmują przekłady „Boskiej Komedji" na różne języki; najwcześniejsze są łacińskie—najpóźniejszy jest przekład prozą na język japoński „Raju", dokonany przez p. Nakayama a wydany w r. 1917-ym.

Archiwa florenckie wzbogaciły wystawę licznym szeregiem aktów, dotyczących przodków Dantego, jego bezpośrednich krewnych i wypadków z życia poety.

Książki nadesłane do redakcji.

Wydanictwa Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

Boy: Flirt z Melpomeną i inne flirciki (wieczór trzeci) str. 253.

Boy. Nowe studja z literatury francuskiej str. 292.

Bibljoteka Narodowa.

Homer. Iliada. Opracował Tadeusz Sinko. str. CXII†388

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniową dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.